GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok VI — Nr. 13 | Poznań, dnia 12 kwietnia 1936 | Cena 20 gr

A. Marcinkowski, Lublin

Dlaczego?

Jednym z głównych zadań polityki zagranicznej, prócz bacznego śledzenia i interwenjowania na korzyść Polski w układzie stosunków europejskich — jest zakończenie dzieła obwarowywania traktatami naszych własnych granic.

Zdawaćby się słusznie mogło, że ten postulat został już wypełniony całkowicie. Tak jednak nie jest. Pomimo upływu 17 lat dotychczas traktatów granicznych nie mamy z trzema sąsiadami: Łotwą, Litwą i Rumunją. Sądzić należy, że z pierwszym i trzecim adherentem sprawy te winny coprędzej wejść na tory pozytywnego rozstrzygnięcia.

Konieczna jest oczywiście aktywność.

Pogranicze łotewskie wymaga przedewszystkiem ściślejszego omówienia. Mamy tu bowiem zadawniony (nie groźny zresztą) spór o 6 gmin iłłuksztańskiego powiatu. Gminy wspomniane zostały na mocy układu wojskowego odstąpione chwilowo Łotwie, dla zabezpieczenia twierdzy Dyneburg, podczas inwazji bolszewickiej w r. 1920.

Gminy owe posiadają w większości ludność polską, a ponadto są one ważne strategicznie, gdyż przedłużają na dużym odcinku oparcie półwyspu wileńskiego o Dźwinę. Z innych spraw Polski z Łotwą, nasuwających się do rozstrzygnięcia, uwypuklić należy, w związku z rozbudową Druji w port rzeczny i wzmocnienie szlaków komunikacyjnych z jej zapleczem (przebudowa kolejki Dukszty — Druja i oddanie do eksploatacji kolei normalnotorowej Woropajewo — Druja), potrzebę zawarcia układu tranzytowego dla żeglugi rzecznej po Dźwinie do Rygi i dla kolei na trasie Turmont — Zemgale — Dyneburg — Ryga. Powstałaby równocześnie kwestja uzyskania strefy wolnocłowej w porcie ryskim. Rozwiązanie tych spraw przyczyniłoby się do podniesienia gospodarczego całego naszego basenu Niemna (t. j. województw wileńskiego, nowogródzkiego i części północno - wschodniej białostockiego).

Z Rumunją chodzi również o zawarcie traktatu granicznego. Przy negocjacjach należy podnieść kwestję linji kolejowej Jasieniów — Polny — Stefanówka — Zaleszczyki, która winna w całości przypaść Polsce wraz z drobnym terenem przyległym — jako nieposiadającym specjalnej wartości dla Rumunji, a mającym duże znaczenie dla nas przy komunikacji Kołomyja — Horodynka — Zaleszczyki — Czortków. Jako rekompensata z naszej strony wchodzić może w grę obszar znajdujący się u źródeł Białego i Czarnego Czeremoszu ze szczytami: Czywczyn (1769 m. p. p. morza) i Hnitessa (1762 m. p. p. morza), który wrzyna się ostro w terytorjum rumuńskie.

Pozostaje sprawa traktatu granicznego z Litwą. Oczywiście nie może być tutaj mowy o jakichkolwiek ustępstwach terytorjalnych, pomimo to cały rozporządzalny wysiłek dyplomatyczny winien być położony na uregulowanie sytuacji anormalnej z tym sąsiadem. Pierwszą zasadą zorganizowanego państwa jest obwarowanie własnych granic. Nie wolno zostawiać luki. One stwarzają niepewność i zadrażnienia.

Te błędy powtarzają się nietylko w problemie, szkicowo poruszonym, traktatów granicznych, ale i w innych kwestjach.

Za przykład może służyć: nieupominanie się o należne nam od Z. S. S. R. 30 miljonów rubli złotem, zawarowanych w klauzulach traktatu ryskiego z dnia 18 marca 1921 r., jak również przeoczenie o sumach tranzytowych przez Pomorze — i dopiero larum, gdy urosły do cyfr astronomicznych.

Dlaczego tak się dzieje?

Władysław Orłowski, Kraków

Narodowa szkoła historyczna

Dnia 3 kwietnia minął rok od śmierci prof. Wacława Sobieskiego. Minął już pierwszy ból i żal, i przyszedł czas na głębsze refleksje i rozważania na tle tej postaci.

Piętrząca się fala ruchów narodowych w świecie niesie ze sobą nowe idee i hasła w każdej dziedzinie życia. Niesie je również w dziedzinie historji, poddając poglądy na nią gruntownej rewizji. We Francji np. wyrazicielem tego nowego kierunku w dziedzinie historji jest Jacques Bainville, autor „Histoire de France". W Polsce — rzecz charakterystyczna — pionierami tej rewizji historycznej są narazie raczej publicyści, podczas gdy zawodowi historycy odnoszą się przeważnie do niej z rezerwą.

Twórcą rewizjonistycznej szkoły historycznej w Polsce jest niewątpliwie Roman Dmowski. Dmowski, nie będąc historykiem, wskazał jedynie pewne zarysy, wytyczne, w kierunku których rewizja poglądów na historję powinna pójść, a przedewszystkiem wskazał na konieczność zbadania roli żydostwa i masonerji w dziejach. Uczniowie, zaliczający się do szkoły historycznej (czy historjozoficznej) Dmowskiego, doszukują się za kulisami życia Europy i Polski przemożnych machinacyj tajnych i wrogich nam sił.

Ale obok Dmowskiego jest jeszcze drugi człowiek, którego śmiało prekursorem narodowej szkoły historycznej można nazwać. Tym razem jest to historyk zawodowy, jedno z największych nazwisk naszej historjografji — Wacław Sobieski.

* * *

Wacław Sobieski był historykiem nawskroś narodowym, o niezwykle głębokiem narodowem poczuciu, które jednak nigdy nie zacieśniało mu widnokręgów historycznych. Z twórczym optymizmem przedstawiał naszą przeszłość dziejową, malując postacie naszych bohaterów narodowych, Chrobrych, Zamoyskich, Żółkiewskich. Szerzył ciepło i światło w narodzie, budząc w nim dzielność, przezorność, patrjotyzm. Uczył czerpać z naszej przeszłości wiarę w siły żywotne i wielkie możliwości rozwojowe narodu polskiego.

Gdy wybuchła wojna światowa, oderwał się całkiem od pracy naukowej (w latach 1914—19 nic nie ogłosił), bez reszty bowiem pochłonęła go sprawa narodowa. Służył jej, on, jeden z najwybitniejszych stylistów współczesnej Polski, czem mógł najlepiej — piórem. A potem w Paryżu na kongresie pokojowym argumenty jego, jako historyka, zaważyły na szali dziejów.

Po odbudowaniu państwa polskiego, odczuwając żywo związek dzisiejszego życia narodu z jego przeszłością i znaczenie doświadczeń dziejowych dla przyszłości, podjął się syntezy „Dziejów Polski". W słowie wstępnem pisze takie wspaniałe zdania:

„Przez cztery pokolenia narzekaliśmy na naszą przeszłość i do tego przywykliśmy. Wstrząsając kajdanami niewoli, wytykaliśmy pradziadom naszym grzechy, które do rozbiorów Polski miały doprowadzić. Dopatrywaliśmy się ziarna naszych nieszczęść hen, w odległych wiekach naszej historji.

Dziś czasy inne! Mając państwo własne, inaczej patrzymy na przeszłość. Na miejsce pokoleń męczenników wkracza teraz pokolenie młode, rwące się ku nowym celom, ku nowym szlakom. Więcej mamy otuchy i wiary, bo kiedy nie daliśmy się pochłonąć i strawić mocarzom-najeźdźcom, toż wyjdziemy chyba obronną ręką z sideł własnych złych narowów, z odmętów ciemnoty i zaciekłości partyjnej.

Naród nasz muskać zaczyna zapomniany powiew „wiatru od morza", pytając o swych zwiastunów w dawnych czasach. Sprawy bagatelizowane lub półgębkiem potrącane, wysuwają się na plan pierwszy.

Nietyle w kazamatach epoki porozbiorowej, ile raczej wśród bujnego życia czasów złotych wolnej Rzeczypospolitej szukać nam pora nawiązania teraźniejszości z przyszłością!"

Tak, nie z okresu upadku i klęski, ale wielkości i potęgi mamy czerpać wskazania na przyszłość.

Wykazując niezwykły zmysł dla zjawisk współczesnych i niepospolite poczucie rzeczywistości, zabiera się Wacław Sobieski po wojnie do zbadania najżywotniejszych spraw i potrzeb Polski odrodzonej. Przedewszystkiem wskazuje narodowi na nigdy nieustające niebezpieczeństwo niemieckie. Wkrótce zagadnienie morza staje się centralnem w jego badaniach historycznych. Sprawami Prus, Pomorza i Bałtyku zainteresował szereg młodych badaczy, którzy dziś już tworzą jego szkołę historyczną. To też nauka niemiecka widzi w Sobieskim najgorętszego bojownika o historyczne prawa Polski do Pomorza, widocznie tak niebezpiecznego dla polityki niemieckiej, że aż mu się konfiskuje jego „Kampf um die Ostsee".

Sobieski to człowiek walki. Obok ścisłości i wielkiej dbałości o rozpoznanie prawdy, cechuje go odwaga i śmiałość w stawianiu nowych tez. Z tą odwagi postawił otwarcie w dziejach Polski piekącą sprawę żydowską i jest niewątpliwie najgłębiej tę sprawę pojmującym historykiem polskim.

Z tą samą odwagą zabrał się do poznawania historji najnowszej, dziejów odbudowy państwa polskiego. Ta dziedzina stała się bowiem wyłączną własnością grupy „wielkich" dziejopisów z całkiem domowem wykształceniem, fabrykujących różne legendy i sugerujących je społeczeństwu. Do tego towarzystwa wzajemnej adoracji Wacław Sobieski się nie zapisał, a w przedstawieniu historji najnowszej liczył się z faktem istnienia Obozu Narodowego.

Pozostał po Sobieskim przedewszystkiem nakaz, przypieczętowany jego własnem życiem, szukania prawdy nawet w tych dziedzinach, na których wielowładna ręka napisała t a b u. Ten nakaz powinna wypełnić młoda narodowa szkoła historyczna.

* * *

Poznaliśmy już spuściznę historyczną Wacława Sobieskiego. Gdy porównamy z nią tendencje, panujące dziś wśród młodych historyków narodowych, przekonamy się, że w znacznej mierze pokrywają się one z nią. Zbadanie rozkładowej działalności Żydów w Polsce, skierowanie uwagi i czujności nie jak dotychczas na stepy ukrainne, ale na Śląsk, Pomorze i Prusy, przełamanie dotychczasowych skłonności wschodnich, a zato mocne stanowisko frontem na zachód, nawiązanie do świetnych czasów potęgi Polski wieku XV—XVII, zamiast ciągłego rozpamiętywania klęsk i męczarni porozbiorowych, krytyczne spojrzenie na powstania — oto podstawowych kilka punktów rewizji historycznej, a zarazem kilka przewodnich myśli Wacława Sobieskiego.

Jednak myśl narodowa nie stoi w miejscu, ale posuwa się ciągle naprzód. I dlatego do tych nasci dodają nowi historycy ze szkoły Dmowskiego nowe: zbadanie zagadnienia masonerji, jej roli w historji świata ostatnich lat 300 i roli grabarza Polski, krytyczne spojrzenie na humanizm i reformację z równoczesną rehabilitacją średniowiecza i roli kościoła katolickiego, krytykę idei rewolucji francuskiej i walk o ich realizację w XIX wieku.

Wiele utartych poglądów trzeba będzie zmienić, dużo surowych sądów o przeszłości poddać rewizji, a zato zobaczyć wiele rzeczy złych, skwapliwie dotychczas przemilczanych. Ten rewizjonizm historyczny, jak każdy rewizjonizm, będąc krytyką i pesymistyczną oceną przeszłości, niesie z sobą niebezpieczeństwo przesady, jakby patologji historji, jak tego mamy przykład na szkole historycznej krakowskiej. W tym jednak wypadku od hyperkrytycyzmu bronić nas będzie wielka optymistyczna twórczość Wacława Sobieskiego.

Narodowa szkoła historyczna łatwego zadania mieć nie będzie. Siły bowiem, przeciw którym rewizjonizm historyczny się obróci i których działalność zechce na światło dzienne wyciągnąć, t. j. żydostwo i masonerja, użyją wszystkich środków, aby do tego nie dopuścić. Środków zaś im nie zbywa.

Przedewszystkiem zamknie się dostęp do archiwów i źródeł; zresztą już dziś mamy tego przykłady z archiwum Potockich i pałacu pod Baranami w Krakowie lub w Krzeszowicach, zamkniętem szczelnie przed uczonymi, gdzie znajduje się pono najbogatszy zbiór materjałów do dziejów masonerji w Polsce XVIII-go wieku. Podobnie uniedostępnione są materjały do dziejów ruchu niepodległościowego, wojny światowej i odbudowy państwa polskiego (archiwum Naczelnego Komitetu Narodowego, zamknięte w Archiwym Akt Dawnych miasta Krakowa, zbiory Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, ukryte w Warszawie, i t. p.). W obawie, by przykra prawda nie wyszła na jaw, sugeruje się społeczeństwu różne legendy. W tym celu monopol na historję najnowszą otrzymali tylko tacy wielcy historycy, jak Władysław Pobóg-Malinowski, Wacław Lipiński czy Zygmunt Wieliczka (Żyd Wieliczker), którzy, pod protektoratem umyślnie na to stworzonych instytucyj, jak Instytut badania najnowszej historji polskiej lub Towarzystwo propagandy czynu polskiego, fabrykują legendy, to o rewolucji 1905 roku, to o Narodowej Demokracji to o N. K. N-ie, czy P. O. W. i t. d. Wszystko to razem stanowi jedną wielką „legendę", sugerowaną społeczeństwu bez wytchnienia od lat 30, a od lat 10 ze zdwojoną siłą, aż po dzień dzisiejszy.

Tworzenie sugestji i legendy jest niewątpliwie środkiem dobrze wypróbowanym przez doświadczone mocarstwo anonimowe. Nie omieszka ono również skorzystać z możliwości zniszczenia lub sprzątniecia niewygodnych materjałów, czego dowodem choćby ostatnio przygody ks. dr. Trzeciaka w czasie rozprawy o ubój rytualny w Sejmie. Ostatnim wreszcie środkiem będzie niszczenie tych śmiałków, którzy zdołali uchylić rąbka zasłony i odkryć część prawdy, niszczenie całkowite, do pozbawienia życia włącznie.

Wszystkie te sposoby mają służyć do zamydlenia narodowi oczu i ukrycia przed nim prawdy. Trudności w jej odkryciu są ogromne. Ale też siły, domagające się jej poznania, są jeszcze większe i rosną z dnia na dzień.

Wszyscy niech pamiętają, że „dłużej klasztora niż przeora!" Dłużej narodu polskiego, niż żydowskiego w Polsce wpływu. I dłużej pamięci dzieł Wacława Sobieskiego, niż... Wacława Lipińskiego!

„Albowiem nic nie jest skrytego, coby odkryte być nie miało, ani tajemnego, czegoby wiedzieć nie miano." (Mat. 10,26.)

* * *

To zadanie odkrycia prawdy stoi przed młodą, powstającą dopiero narodową szkołą historyczną.

Michał Pawlikowski, Medyka

Bogu Rodzico!

Nie opuszczaj nas! Nie opuszczaj nas! Matko, nie opuszczaj nas! — Straszny nad nami czas się iści... Obrywa nas z czucia jak z liści! Mrozi nas lodem jak zima, morzy nas głodem... Znikąd pomocy nie mamy! — Jakże wytrwamy? ... Nie opuszczaj nas! O nie opuszczaj nas!

Rzucimy próżne rozumy i wszystkie puste dumy naszej starości. Niech nam już tylko płomień twych oczu zaświeci i twej matczynej miłości... Bo my jesteśmy przecie także czyjeś dzieci!

Z Tobą pójdziemy! Z tobą! Przez twarde serca głody, przez ślepych myśli noce, przez mróz, przez niedostatki i niepogody... przez rozpacz naszych win, przez smutki niepocieszone... i wiem — wiem — wiem, że wyprowadzisz nas na tamtą stronę!

I wiem, i wiem, i wiem, że nietylko w lazurze, lecz także tu na ziemi, gdzie jesteś tłumaczem Boga i sercem danem naturze, — że także na tej ziemi, po której twe święte stopy chodziły między biednemi, pomożesz żyć i rosnąć i w niebo Chrystusowe iść — Twojemu narodowi... Bo z Tobą, Panno święta, bo z Tobą, Panno uboga, nie straszna nam żadna trwoga!

Bogu Rodzico! Bogiem sławiona Maryjo! Usłysz nas, pomóż nam, byśmy nie byli zmożeni przenigdy mocą niczyją! — Prowadź nas, byśmy wytrwać umieli jako drzewiej, — i byśmy się też znowu nauczyli miłować! Prowadź, abyśmy z Tobą umieli być weseli, że jesteśmy, bracia, między sobą, — i byśmy sobie zawsze umieli: wiary dochować!

Bogu Rodzico! Dziewico! Napełnij myśli nasze... Abyśmy ku dobru z chuci byli zawsze twardzi i luci. — A nietylko w boju, ale w pokoju i zawsze! Ażeśmy Twoje rycerstwo, nalej nam w serca męstwo! — Aby z nas wyszła moc i aby z nas wyszła siła, świeć nam, jakeś ojcom naszym świeciła!

A którąś Twego Syna w potrzebie na śmierć męczeńską dała, — prosimy Ciebie, abyś w godzinie śmierci przy mężnych ludziach stała! —



Fot. J. Bulhak.

Zbyszko Bednorz, Katowice

Pożegnanie

W taktów klekocie pojękliwe tango drży.
Dym; kawy aromat; Na tacy rozgadania
Szminką się dowcip skrzy.

Stolik. Siedzimy. Mówisz:
— Tak dobrze było tu, że nie wiem —
Uśmiech najsłodszy, zakłopotany.
A w sercu perliste rozkapanie pożegnalnych łez...

Potem znów
obłok słów
Beztreściwych żadnych.
To — bezwiedne wpatrzenie się w matowość lamp:
Ogniska przeszło — przyszłych chwil...
A głęboko w sercu tam
Miłością ciężkie kapią łzy.

Wciąż
Na licach Ci kwitło wesele,
Jak jesienią szron.
Czy smucić się warto?...

Przecież chichocze miasta rozedrgany rytm
Z chorych na uczuć dreszcze.
Wszak serce przerosły chwast
Niemodne ziele.

Hm — — —

Jest wyjście najprostsze:
Przygodną taką dorożką otwartą
(Szkapa zbiedzona dzień cały w rynku czeka)

Wyjechać!! —

Z reklamiarskich ulic w tęskność mgieł..
Cicho, samotnie dotknąć mrocznych pól,
Że cały smutek, cały pożegnania ból
Z tobą zakłamanego człowieka
W tajemnych się utuli wieczoru spowiciach.
— — — — — — — — — —
Powrót — pół godziny — płacę podług licznika.
Wiesz, ludziom nie mów o tej jeździe hen —
Jakgdyby nic, jakgdyby nic —
Ty w drogę ruszysz daleką:
Ja, znów pójdę w ule kawiarnianych wrzeń,
By pod sztucznych świateł baldachimem
Żyć normalnie
Jak jeden z wielu
Fatygowany cień...
— — — — — — — — — —
Hm — Wiesz —
A czasem — głupi — na świętość chciałbym się biczować
I dusze uświęcać świata, rymem.

Franciszek Strzałko, Kraków

Wspomnienia włoskie

Gdy w kwietniu ubiegłego roku jechałem do Włoch, wojny z Abisynją jeszcze nie było. Przygotowywano się już jednak energicznie. Pociągi, zdążając na południe, pełne były rekrutów i rezerwistów, jadących do Afryki. Weseli, śpiewający jakąś piosenkę, w której powtarzał się refren „Africa, Africa", stanowili lwią część publiczności w dalekobieżnych pociągach. O wojnie coprawda nie było mowy. Twierdzono powszechnie, że jej nie będzie, że chodzi tylko o wymuszenie na Abisynji pewnych ustępstw, a dla uczynienia jej skłonniejsza do nich, wysyła się wojska do Afryki. Długie jednak i staranne przygotowania, jakie Włosi poczynili, świadczyłyby o tem, że wybuch wojny przewidziano i tylko nie chciano widocznie uprzedzić wypadków przez przedwczesne rozgłaszanie.

W tej chwili wojna w pełni i w pełni też pierwszy sezon po ogłoszeniu sankcyj. Szkoda, że nie mamy wiadomości z Włoch, jak sankcje wpływają na frekwencję cudzoziemców w tym roku. Osobiście przypuszczam, że zmiany, jeśli są, muszą być nieduże. Może jest trochę mniej Anglików, ale liczba Amerykanów, Francuzów, Austrjaków i Niemców napewno nie zmalała. A trzeba wiedzieć, że mówiących po



Fot. K. Strokowska.
Kościół św. Franciszka w Asyżu.

niemiecku spotykało się we Włoszech w ubiegłym sezonie na każdym kroku. W Rzymie zwracała uwagę wycieczka paru tysięcy młodych katolików niemieckich. Była to ta sama wycieczka, której potem po powrocie do Niemiec władze hitlerowskie zarekwirowały, rzekomo ze względów celnych, dewocjonalja i inne pamiątki kupione w Rzymie. Dużo było na ten temat hałasu w całej prasie i dużo pisano o nietolerancji hitlerowców. Mnie osobiście zastanowiło wówczas, czy byłoby do pomyślenia u nas w Polsce, której rządy bynajmniej nie są przedmiotem ataków „liberalnej" prasy, by parę tysięcy młodzieży, zgrupowanej w organizacjach nieprorządowych, mogło wogóle wyjechać zagranicę? Czy młodzież taka miałaby pieniądze na wyjazd, a jeśliby je miała, czy dostałaby tanie paszporty? Nie ulega wątpliwości, że u pewnych ludzi pojęcie nietolerancji jest bardzo elastyczne.

Podróż po Włoszech dobrze jest zacząć od Wenecji. Jest ona tak odmienna od wszystkiego, co się zna, że najdokładniejsze i najlepsze opisy nie są w stanie oddać tego wrażenia, jakie ona wywiera. Dzięki brakowi jakichkolwiek pojazdów kołowych panuje tu niezwykła cisza, przerywana tylko syrenami motorówek i pluskiem fal na kamiennych stopniach przystani. Wzdłuż koronkowych fasad gotyckich sunie się „vaporetem" w stronę placu św. Marka. U wylotu Canale Grande wyłania się zwieńczona kopułą Santa Maria della Salute. Jest to bez wątpienia najlepiej związany z wodą monumentalny budynek Wenecji. Nie wyrasta on wprost ze szmaragdowej toni, lecz oddzielony jest od niej przez łagodną, przerywaną pochyłość kamiennych schodów, wiodących od wody aż do bram kościelnych. Biel jego murów w połączeniu ze szmaragdową barwą wody i niebieskiem tłem nieba stwarza niezrównany efekt kolorystyczny. Nie mogłem znaleźć w Wenecji dobrej fotografji tego kościoła. Wogóle w całych Włoszech bardzo trudno o naprawdę dobre pocztówki-fotografje. O ile u nas np. w Krakowie bez trudu znaleźć można całkiem efektowne zdjęcia poszczególnych zabytków i fragmentów miasta, o tyle we Włoszech jest to zadanie niełatwe. We Florencji znalazłem parę niezłych kartek — były to jednak zdjęcia... niemieckie. Amatorska fotografja pięknej oktogonalnej świątynki na Torcello pod Wenecją, wykonana przez jednego z uczestników naszej wycieczki, odpowiadała mi o wiele bardziej, niż wszelkie pocztówki z tym zabytkiem, które widziałem. Z uwagi na to radzę wszystkim wybierającym się do Włoch brać aparaty fotograficzne i robić, co się da, nie zniechęcając się powtarzaniem sobie, że „to wszystko i tak było fotografowane".

Co daje Wenecja, to ocenia się najlepiej po powrocie na „stały ląd". Nigdy kurz oraz hałas pojazdów tak mię nie raziły, jak wówczas, gdy po parodniowym w niej pobycie znalazłem się w Padwie. Miasto owe, tak pełne ciekawych zabytków, wydało mi się pospolitem po niezwykłości wrażeń weneckich.

Droga z Bolonji do Wenecji została niedawno skrócona dzięki tunelowi długości przeszło 18 kilometrów. Tunel ten uważają Włochy za jedno z wielkich dzieł reżimu faszystowskiego. Fasady jego zdobią potężne rózgi liktorskie. We Florencji wznosi się nowy dworzec kolejowy. Ze stanu robót w ubiegłym roku trudno było jeszcze wnioskować, jaki będzie jego wygląd po ukończeniu. Uderza duża ilość linij kolejowych zelektryfikowanych. Brak zdaje się zupełnie wagonów dwuosiowych. Wszędzie nie wyłączając bocznych linij, spotykałem tylko czteroosiowe. Zwracają też uwagę doskonałe szosy. Wogóle na każdym kroku widać dbałość o środki komunikacji.

Obiad we Włoszech kosztuje przeciętnie dwa do trzech razy drożej, niż w Polsce. Makaron stanowi fundament, po którym następują inne, mniej obfite posiłki. Mówię tu o przeciętnych restauracjach włoskich. Są oczywiście lokale, gdzie za odpowiednią cenę można dostać wszystko na modłę międzynarodową. Trzeba przyznać, że we Włoszech w stosunku do cudzoziemców niema żadnego wyzysku, a wycieczki zbiorowe korzystają z daleko idących ulg. Ułożyliśmy budżet naszej wyprawy tak oszczędnie, że przepowiadano nam, iż będziemy musieli przedterminowo zakończyć podróż. A jednak nietylko nie skróciliśmy, lecz mogliśmy nawet przedłużyć pobyt we Włoszech.

O wspaniałych zabytkach i krajobrazie nie piszę, bo nie czuję się na siłach współzawodniczyć z całym niemal Parnasem, i to w ramach tego krótkiego artykułu. Zresztą jeśli chodzi o krajobraz, to przyznam się szczerze, nie zrobił on na mnie oczekiwanego wrażenia. Wyłączam tu oczywiście taką drogę z Neapolu do Salerno, lub Capri, lecz weźmy np. okolice Sieny: robią one wrażenie dziwnie pustynne; uderza brak lasów i zieleni. Nie zapomnę wrażenia, jakie zrobiły na mnie Beskidy żywieckie, gdy udałem się tam w parę dni po powrocie z Włoch; po beznadziejnej ulewie, trwającej całą dobę, nastał wspaniały dzień majowy. Gdy rozglądałem się dokoła z jednego wzgórza, mimowoli nasunęła mi się uwaga: nareszcie widzę znowu prawdziwą, świeżą zieleń i ciemne niebieskie niebo. Takiego nieba nie widziałem we Włoszech ani razu, choć deszczu przez cały miesiąc nie było prawie wcale i słońce świeciło codzień.

O uroku Włoch decydują nietyle krajobrazy, co wspaniałe bogactwa artystyczne tego kraju. Nietylko wielkie ośrodki, ale i małe, zapoznane mieściny kryją w sobie nieraz skarby malarstwa, lub rzeźby, które gdzieindziej stanowiłyby chlubę stołecznych muzeów. Dla Polaka narodowca Włochy dzisiejsze mają nadto urok kraju, który pierwszy zeszedł z bezdroży, na jakie wprowadziły Europę hasła XIX wieku. Niestety, nie miałem możności wejść w kontakt z ludźmi nowych Włoch. Wystarczyło mi jednak to, co widziałem, by utwierdzić się w przekonaniu, że faszyzm nie zmarnował zdobytej władzy. Niezliczone wykopaliska archeologiczne, przebudowa Rzymu, nowe miasta, wzniesione na osuszonych błotach, wreszcie potęga militaryzmu Włoch i ich wciąż rosnące naprawdę mocarstwowe znaczenie — wszystko to mówi samo za siebie. Jeśli się komu nie podoba, że Mussolini rządzi żelazną ręką, niech przeczyta historję Włoch. Dowie się z niej, że dyktatura nie jest żadną nowością dla Włochów. A jeśli znowu ktoś twierdzi, że Mussolini ze swojemi gestami jest kabotynem, niech jedzie do Wenecji i popatrzy na Colleniego. Przekona się wówczas, że gesty władców włoskich mało się zmieniły od XV wieku. A ja, chodząc po niekończących się salach Watykanu, lub pod kopułą św. Piotra, myślałem sobie, że wszak niewiele brakowało, a mogło tu być kino, lub klub bezbożników. Jeśli zaś to się nie stało dzięki Mussoliniemu, to prosta uczciwość już za to samo nakazuje uznać go za dobroczyńcę ludzkości i życzyć mu, by rządził jaknajdłużej na pożytek swego kraju i całej naszej cywilizacji.



Fot. Fr. Strzałko.
Wejście do dolnego kościoła w Asyżu.

Karol Hubert Rostworowski, Kraków

Przeprowadzka

9

Sztuka w 4 aktach

CIEPIELOWA
Ale pan tutaj zamieszkał! — I od czasu, jak pan zamieszkał, obrzydził mi pan wszystko! — Ten fotel, bo na nim siada! To lustro, bo się przed nim goli! Tę lampę, bo go oświeca! Nawet ten święty obraz, bo się przed nim modli! — I zdrowie mi pan zmarnował. A tak! zmarnował! Niema dnia, żeby mi głowa nie pękała! — Z początku latałam po doktorach. Osły jedne! (udając lekarza): „Unikać mięsa — dużo jarzyn — dużo mleka — dużo masła...". Osły jedne! Myślą, że wszystko może iść po maśle! — Niech spróbują! Niech tutaj przyślą swoje żony! A potem niech spytają, co niezdrowsze! Kupa mięsa na talerzu, czy kupa mięsa...

FRANEK
Pani nie wie, co pani wygaduje!

CIEPIELOWA (z rzewnością w głosie).
Wiem, panie Franiu. Wiem. Od pierwszej chwili wiedziałam! Pan taki wykształcony! taki szczuplutki! taki inny! — Przy panu człowiek się odmienia. Jakoś mięknie, dobrzeje... (Znów rozżerając się) A przy nim? — Panie Franiu! Przy nim — jak na spowiedzi wyznaję — czasem bierze mię ochota pójść na ulicę, udać, że jestem rogówką, zaczepić pierwszego z brzegu przechodnia... byle chociaż przez parę godzin oglądać ludzką twarz i słyszeć ludzką mowę bez tych „całowań serduszka", bez tych „paniedobrodzijków", bez tego przeklętego chrypu!... Ja przecie jestem jeszcze młoda! Trzydzieści jeden lat! A pan ma przecie oczy! Niechże pan popatrzy! Czym to gorsza od innych? Czy wymagam od pana cudów? — Czy to wy zawsze dbacie o te, z któremiście żyli i żyjecie? — Wystarcza wam ciało płatnych dziewcząt, niechże wam przynajmniej raz wystarczy, że jesteście zadarmo... kochani!

FRANEK, (który słuchał, stojąc z rękami w kieszeniach, i z rosnącą zgrozą patrzył w Ciepielową — zupełnie ordynarnie).
Pani jest obrzydliwa! Pani jest obrzydliwsza od tego starego dziada! I to właśnie z tej prostej przyczyny, że pani jest jeszcze... młoda! (idzie ku prawym drzwiom).

CIEPIELOWA, (którą zatknęło, rzucając się ku prawym drzwiom, krzyczy).
Nie pójdzie pan! (zamykając drzwi na klucz i wyjmując klucz z zamku). Ani tędy... (rzucając się ku lewym drzwiom i zachowując się jak przy prawych). Ani tędy! (wpada do sypialni, rzuca oba klucze na komodę, poczem wolnym krokiem podchodząc do Franka i z jadowitą słodyczą cedząc sowa). Co to pan Franiu powiedział?

FRANEK, (który stanął jak wryty i czarnym wzrokiem wodził za Ciepielową — przez zęby).
To, com powiedział.

CIEPIELOWA (j. w. siadając przy stole).
A czemu to pan Franiu powiedział?

FRANEK
Bo płatnym chłopem nie będę.

CIEPIELOWA
Niech się pan Franiu liczy ze słowami.

FRANEK (zdławionym przez pasję głosem).
Nie będę! — Odstąpiłoby się na noc pracownię. Prawda? — Wstawiłoby się łóżko, stolik i osobną szafkę na książki. Prawda? — I byłbym pod ręką. I wystarczyłoby gwizdnąć jak na dziewkę. Prawda?!

CIEPIELOWA
Powtarzam panu Franiowi, niech się pan Franiu liczy ze słowami!

FRANEK (z wybuchem).
To niech się pani liczy ze mną! Podchodzi mię pani od miesiąca! A pani wie, pani dobrze wie, jak łatwo zrobić bydlę z głodnego człowieka, jeżeli w odpowiedniej chwili podsunie mu się byle ochłap, a cóż dopiero miskę świeżego, pachnącego żarcia!

CIEPIELOWA
A wiem, panie Franiu. Nietylko dobrze, ale nawet doskonale wiem, że od stolika i osobnej szafki na książki daleko lepiej pachnie... stręczycielstwo!

FRANEK (z zaciśniętemi pięściami ryczy).
Milczeć!

CIEPIELOWA, (która szybko powstała i podparła się pod boki — wyzywająco).
Ho ho ho! Jak się pan Franiu stawia! I pan Franiu ma czelność rozpowiadać mi tutaj, że oni tej świńskiej propozycji nie przyjmą?

FRANEK (dygocąc na całem ciele i coraz gwałtowniej zaciskając pięści — zdławionym głosem).
Milczeć!!!

CIEPIELOWA
Przyjmą! A pan Franiu przyjmie od nich! Pan Franiu przecie za „szlachetny!". Z rączki do rączki byłoby dla pana Frania za mało szykowne!

FRANEK (już bez głosu z pasji).
Milczeć!...

CIEPIELOWA
Tak tak, panie Franiu! Oni przyjmą i pan Franiu przyjmie! — Inaczej nie zapominałby pan Franiu, że za takie rzeczy wylatuje się na bruk! Z łachami! Z książkami! Z Zośkami! — I nie byłabym panu Franiowi „obrzydliwa!". I siedziałby pan Franiu cicho! Ale kto ma szesnastoletnią siostrzyczkę na sprzedaż...

FRANEK (rzucając się na Ciepielową z podniesionemi pięściami).
Aaaa!!!!

CIEPIELOWA (z iście kocią zręcznością owijając się około Franka i tuląc twarz do jego piersi).
Bij! — Bij Franuś! — Bij!

Jan Bielatowicz, Kraków

„NOCE I DNIE"

(Dokończenie)

VII.

Kobiety Dąbrowskiej — wydaje się — są naturalniejsze, lepszy obraz ich psychiki (poza przejaskrawioną Agnieszką), a to stąd, że dużo w tych kreacjach elementów psychicznych introspektywnych autorki. Kobiety te, jak się powiedziało, stworzone są tylko do miłości; reszta ich działań, to tej miłości ozdoby. I jest Dąbrowska bardzo dobrym psychologiem miłości, ale w szczegółach już nie. Szczegóły przeżyć i scen miłosnych u Dąbrowskiej nie są naturalne. Nie można oczywiście pisarzowi doradzać, jak to a to „powinien był zrobić", ale można skrytykować słuszność jego roboty. Mickiewicz wprawdzie powiada, że dziurę w obrazie zobaczy byle glupiec, a zalety — jedynie znawca, ale też wiemy, że „einen elenden Dichter tadelt man gar nicht....., gegen einen grossen ist man unerbittlich". A pochwał już wiele usypano Dąbrowskiej. Płycizny „Nocy i dni": pierwsza miłość Agnisi z Januszem i dramat, w który ani na chwilę nie można wierzyć, Agnieszki i Marcina — są bardzo konwencjonalne. W psychologji miłości rażą w „Nocach i dniach" owe niewytłumaczone porywy, nagłe, przedwczesne, nieumotywowane; nieprawdopodobne sytuacje erotyczne (Bogumił — Ksawera, Janusz — Celina, Janusz — Agnisia). Dojrzałość Agnieszki w miłości nie jest niczem uzasadniona. Takie dobre dziecko, jak ona, potrafi całować się i wiązać z Marcinem, który wśród wybuchów miłosnych upewnia się, czy nie szkodzi jej to, że on kocha dwie inne. No a owa trójca w miłości tak idealistycznej duszy — to też niejasne. Taki potem skrupulant, najpierw jednak uwodzi Agnisię. Agnisia mści się tak na Marcinie w Szwajcarji: jedzie na wycieczkę w męskiem towarzystwie i (słowa autorki): „Nie brakło tam ściskania się i tulenia do siebie i różnych głupstw nieopamiętanej młodości", a Agnieszka myśli: „Przyjemnie może być z każdym". Tak postępuje Agnisia, niezakłamany wzór moralny pensji. Co gorsze, Agnieszka bez żadnych podstaw wierzy we wszystko, nie ma prawie dumy kobiecej i lezie w sieć nieświadomości, nie każe się nawet przeprosić, lecz zaraz oddaje swe usta, gdy amant zechce (str. 413, t. III cz. 2). Dość wulgarny i nieprawdziwy jest też taki pogląd z tomu IV (cz. II): „Szła już noc i wnet dostali się we władzę tego, czemu jest wszystko jedno, czem jesteśmy i jakie więzy nas łączą i jakie myśli różnią, byle działo się — co musi dziać się z dwojgiem".



Fot. J. Bulhak.

Ale są też u Dąbrowskiej i mistrzowskie obserwacje: „Zazdrość nie liczy się z miłością zastaną", „gdy nas nie stać na miłość, stać nas zawsze na zazdrość".

VIII.

Zdaje się, że wogóle obrazy duchowe w „Nocach i dniach" mają swoje wady. W tych duszach za często rodzą się tezy filozoficzne i etyczne, poglądy są często nadrzędne nad naturą. Agnieszka jest czasem rozpaczliwie przemądrzała, wprost nienaturalne jest pisanie przez nią filozoficznego listu do męża o śmierci ojca. Ona i Marcin żyją samą ideą (nawet niewiadomo, skąd biorą chleb), a to wieczne życie w idei i deklamacja, to nudne i nieprawdziwe. Stąd też taki Marcin wychodzi na megalomana. „Zdałem już — powiada butnie do Agnieszki — kilka ciężkich egzaminów życia. Ale dla was, to ma się rozumieć, nie dosyć". Jest to człowiek zbyt gadatliwy i widać raczej patos jego słów, niż czyny. Zbyt często z tępym uporem doktrynera, czy trzeba, czy nie, deklamuje o swojem powołaniu, wyższości, użyteczności etc. Pewnie, że słuszne jest zdanie Szczepanowskiego, że ten tylko człowiek godzien zwać się człowiekiem, który żyje w służbie idei. Ale kto ma ideę na użytek codzienny, dla deklamacj — ten nie rozumie idei.

Bogumił, to raczej marjonetka ideału, Janusz rozpaczliwe ubóstwo, wręcz nierealność duszy. Tomaszek jest przez autorkę skazany na niższość. Nie można o nim powiedzieć wiele, bo pozostawia go Dąbrowska jako człowieka jeszcze niezrealizowanego. Bardzo jednak głęboki jest sąd o nim Agnieszki: „ten chłopiec, zdający się żyć swemi zmysłami i mięśniami, jest jakby napoły głuchy i ślepy. I że nawet w dostępnej zmysłom rzeczywistości nie dostrzega ani cząsteczki tego, co stanowi jej treść". Dąbrowska jednak nie jest dobrym psychologiem zła. Zło ma bogatą psychologję, idącą dość często równym torem z dobrem. Kobiecość Dąbrowskiej złu kazała być fatalizmem.

Mimo wszystko wartość psychologji Dąbrowskiej wydaje się ogromna. W tak olbrzymim żywiole wejrzała głęboło w jego istotę, wytłumaczyła wiele i objaśniła. I jeśli potknęła się, to na szczegółach. Zarysy jej duszy są bardzo prawdziwe. Przedewszystkiem niema nadludzi. A dusze są nieodgadnięte. Można je więc interpretować wielorako.

IX.

Kobiecość bohaterek Dąbrowskiej (i naturalnie autorki) manifestuje się jeszcze ich naiwnością w znacznej mierze poglądów społecznych i nierozumieniem namiętności politycznych (prądy epoki przedstawione dość płytko i jednostronnie). Wyznawanie idei dla tych kobiet — to coś jak kwestja stroju, w najlepszym razie jak takt towarzyski. Inną cechą kobiecą jest nieliczenie się z czasem. Czas nie gra zasadniczej roli w życiu bohaterów „Nocy i dni", conajwyżej w formie refleksji jako „tęsknota za mijającem życiem ludzkiem". Nie trzeba podkreślać, że kobiecość tworzy bezcenne wartości. Jako przykład niech posłuży następujący sąd z „Nocy i dni", wyrażający zatarcie się jednostki w idei : „Indywidualnością można się stać tylko, związawszy się z czemś, co nie jest nami. Siebie znaleźć i stworzyć trzeba, ale to jest możliwe tylko w zapomnieniu o sobie. Choć to jest trochę błędne koło, bo z drugiej strony trzeba być sobą, żeby móc o sobie zapomnieć i wyjść ze siebie, przejąć się twórczo pracą . . ." (słowa Ceglarskiego). Jest to piękny postulat, kwestja tylko, jaką drogą ma go realizować kobieta. Bo, jak się pokazuje, zajęcie się bezpośrednio ideą polityczną lub społeczną jest wartością dla kobiety problematyczną.

X.

Idea „Nocy i dni" jest całkiem wyraźna. Raz po raz odzywa się na kartach powieści leitmotyw, ubrany w takie słowa: „wielkość ujrzysz w najmniejszej okruszynie bytu, gdy się do niej weźmiesz z należytą pokorą", „Z tym samym pługiem idąc, widzisz Boga lub grudę ziemi. Na to samo drzewo patrząc, widzisz cud stworzenia lub widzisz cień od skwaru, liście, owoce i budulec...", „każdy drobiazg, każdy człowiek może mieć wyjście na sprawy powszechne i wieczne i to właśnie jedynie oznacza religię". Oto podstawy filozoficzne „Nocy i dni". „Może tej niezwykłości wzruszeń, tej wyższej treści, religii czy idei, należało szukać w powszedniem toczeniu się nocy i dni?". To chyba światopogląd chrześcijański. Z niego wypływa miłość człowieka i jego drobnych dzieł, kult pracy, z niego pokora — „rozumniejszy stosunek do życia: nie myśleć wciąż o sobie". W myśl tego porządku walczy Dąbrowska „o sens i wartość rzeczywistości najbliższej", co Kl. L. Koniński uważa za ideę naczelną dzieła.

XI.

Godna podziwu, jako twór artystyczny, jest naiwność dzieł literackich, decydująca m. in. o epickości. Otóż „Noce i dnie" mają charakter w pełni naiwny, zacieniony tylko rąbkiem nieuniknionego (i wartościowego) dydaktyzmu. Szczególna to rzecz, że eposy łączą się z dydaktyzmem i pesymizmem. Obie te cechy są u podstaw dzieł Hezjoda. Pesymizm jest nieodłączną cechą prawdziwego życia, więc zrozumiały jest jego ton w epice. Dydaktyzm „Nocy i dni" polega przedewszystkiem na kontraście charakterów.

XII.

Najlepszy wydaje się tom I „Nocy i dni", najlepiej umotywowany, najrówniejszy. „Wieczne zmartwienie" już przejaskrawione. Ludzie stają się potrosze marjonetkami, częścią lekkimi psychopatami (Daniel, Michasia, Barbara). Tom III jeszcze bardziej „puszczony". Fantastyczny, skonstruowany awanturniczo, ale i z pewnym opadem artyzmu. Treść pokonuje formę, a forma nie uszlachetnia treści. Część I tomu IV bardzo rozwlekła, w części 2 na plan pierwszy wychodzi akcja, gwałtownie redukuje się sentencjonalizm, a całość staje się najpiękniejsza po tomie I.

Łatwo pojąć, jaki jest urok stylu Dąbrowskiej. Tak trudne zadanie — długa 6-tomowa powieść o życiu powszedniem, — spełnione zostało porywająco m. in. dzięki stylowi. Zna głęboko tajnie artystycznego tworzenia Dąbrowska. „Słowu — sądzi — nie wolno być większem, niż jego treść pojęciowa, czy emocjonalna — wolno mu być mniejszem". A natchnienie? „...Żyłka poetycka, bezcenna skłonność do zespalania się ze wszystkiem, co nam zachodzi drogę, stan, kiedy duch nasz pluszcze się zachwycony w nurcie życia, nie przeciwiąc się, nie wątpiąc, nie krytykując". Podkreślić trzeba u Dąbrowskiej umiejętność indywidualizacji stylu. Również zachwycająca jest motywacja realistyczna „Nocy i dni". Oto przykład z tomu IV: „Ale oto w życiu tak bywa, że jak niema wiadomości, to niema, a jak są, to nowina goni nowinę, więc zanim zdążyli powziąć te lub owe domysły, nadszedł list..."

„Noce i dnie" nie są skończone . Wszystkie osoby powieści są na drodze ku zasadniczym rozstrzygnięciom. Ale też w życiu wszyscy ludzie są w drodze...

XIII.

„Noce i dnie" są dziełem polskiem, nietylko przez środowisko i język. Zasadza się to m. in. na silnem przywiązaniu do tradycji politycznej, społecznej, obyczajowej ,kulturalnej; na refleksach żywych tych idei w dziele; praktyczność, publicystyczność, polityczność literatury polskiej i w „Nocach i dniach" ma oddźwięk zasadniczy. Te sprawy są wskazane jako wartośc szczytowe. Polskie jest umiłowanie życia osiadłego, ziemiańskiego, stosunek do własności „miłującej i twórczej". Polski ideał historyczny — wstręt do rasowej nienawiści triumfuje w „Nocach i dniach". Jest to więc dzieło literatury narodowej.

XIV.

„Noce i dnie" są dziełem, oddziałującem społecznie i pisanem, jak się zdaje, ze względem na społeczeństwo i jego klimat moralny, Wprawdzie Dąbrowska na innem miejscu twierdzi, że piękno ma swoisty sposób i ideał „zobowiązania", bezpośredni, jak filozofja lub religja.[7]). Piękno nie idzie i nie powinno iść wedle niej w parze z ideami społecznemi Stanowczo stwierdza Dąbrowska „zupełny brak wpływu rewelacyj artystycznych na t. zw. życie realne" i dowodzi, że nie było w dziejach przykładu takiego wpływu. Aby się szeroko nie rozwodzić, wystarczy zacytować biegunowo przeciwny sąd G. Lansona: „Jest chimerą, chcieć jednem cięciem rozwiązać kwestję wpływu całej grupy dzieł na całą grupę faktów. Wpływ literatury na rewolucję będzie łatwiejszy do uchwycenia dopiero, gdy się cierpliwie będzie badało, od r. 1715, a nawet od 1680 do 1789 rozmaitą wymianę, jaka istniała między literaturą a życiem. Jeśli literatura działała, to nie jako całość faktów, ale przez nieskończoność wpływów na nieskończoność indywiduów przez ciąg wieku przeszło, w ten sposób, że wkońcu w r. 1789 wiek literatury wsiąkł, rozłożył się po różnych piętrach, w rozmaitych ilościach w zbiorowej duszy francuskiego narodu i odnalazł się w sposobach, jakiemi ten naród reagował na fakty".[8]). Bezwątpienia literatura piekna oddziałuje na życie społeczne i czy chce, czy nie chce, wpływ ten oceniać można i trzeba. Wzgląd też na społeczny ustrój Polaków podyktował Dąbrowskie dwa m. in. wspaniałe zdania: „Jeżeli niezawsze narodowość była podstawą do organizowania wielkich państw i tworzenia wielkich cywilizacyj, to nie znajdziecie... ani jednego przejawu cywilizacji czy kultury, na których narodowość nie położyłaby swojego piętna..." i „Nim się zaczniemy obawiać złych skutków polskiego szowinizmu, osiągnijmy to, żeby ta nieszczęsna narodowość doszła wogóle do głosu, i nim zaczniemy krytykować poczucie narodowe, wywalczmy to, aby się mogło ujawnić" (Śniadowski na zebraniu w Lozannie).

Kobiecość zmąciła Dąbrowskiej jednak poglądy społeczne. W jednym prądzie, któremu się nota bene po kobiecemu przeciwstawia, widzi syntezę możliwych ideałów społecznych, nie dostrzega prawdziwych złych stron tego ruchu, natomiast chętnie cytuje stronne poglądy jego wyznawców na idee inne. Są inne cienie w społecznych poglądach Dąbrowskiej: namiętny antyklerykalizm, przeradzający się w sceptyczny, fałszywy typ Żyda zakochanego w Polsce.

W całości talent i kultura stworzyły dzieło wysokiego artyzmu, artyzmu z piętnem polskiem.

[7]) W artykule „Czy piękno zobowiązuje?", „Pion" r. III nr. 36.

[8]) „Metoda w historji literatury", „Sfinks" r. 1912.

Czytelnikom i Przyjaciołom „Głosu" składa serdeczne życzenia



zdrowych i wesołych Świąt

Redakcja

FRANEK, (któremu opadły ręce, który zachwiał się na nogach i wraz z Ciepielową osunął się na fotel — starając się wyzwolić z objęć Ciepielowej — zdławionym głosem).
Puszczaj mię pani!

CIEPIELOWA (namiętnie tuląc się do Franka).
Nie puszczę! Od ciebie wszystko! Byle przy tobie! Byle z tobą! Franuś! Mój złoty! Mój jedyny! Mój najdroższy! Ukochaj mię choć raz! Choć jeden jedyny raz! A potem niech się dzieje co chce! Rób ze mną, co ci się żywnie podoba! Franuś!

FRANEK (nagłym ruchem chwytając Ciepielową za oba ramiona i odsuwając ją tak, ażeby móc jej patrzeć prosto w oczy).
Czekaj Pani! (po chwili niesamowitego wpatrywania się w Ciepielową). Chce pani... razem... w błoto?...

CIEPIELOWA (mimowoli zniżając głos i chcąc się przytulić do Franka).
Wszędzie, Franuś! Wszędzie!

FRANEK (coraz bardziej niesamowity, prawie chrypem).
Czekaj pani! (Po chwili j. w.). Po same uszy! Na złość!

CEPIELOWA (j. w.).
Byle przy tobie, Franuś! Byle z tobą!

FRANEK (prawie ze złością).
Czekaj Pani! (po chwili przez zaciśnięte zęby). A potem... niech się dzieje, co chce!

CIEPIELOWA (j. w.).
Tak, Franuś! Tak!

FRANEK (nienawistnie).
Tak?! (Po chwili). No to... (brutalnie obejmując kibić Ciepielowej zupełnie zdławionym głosem). Kiedy!

CIEPIELOWA (prawie szeptem).
Kiedy tylko zażądasz! Śpi jak kamień! Można mu z armat strzelać...
(Dzwonek).

CIEPIELOWA (zrywając się).
Idzie! (ciągnąc Franka za rękę w stronę sypialni). Prędko! Do sypialni! Do sypialni!

FRANEK (który szedł jak pijany i nie spuszczał niesamowitego wzroku z Ciepielowej, znika w sypialni).

CIEPIELOWA (poprawiając włosy i szlafrok — poczem, zupełnie opanowana, otwiera drzwi).
(Wchodzi Felek).

FELEK (ubrany jak w pierwszym akcie, tylko z narzuconą marynarką).
Dobry wieczór pani majstrowa. Znajdzie się tam jakie wolne miejsce dla mnie?

CIEPIELOWA (siląc się na naturalność).
Owszem.

FELEK
Zrobione . (Wyjmując z kieszeni siedem złotych i kładąc je na stole). Płacę za tydzień i będę już dzisiaj nocował. Zająç Feliks, lat dwadzieścia trzy ,robotnik. (Zawraca na pięcie — nagle spostrzega Franka, który stanął w wejściu do sypialni, włożył obie ręce do kieszeni i z zupełnie nowym, jakimś bezczelnie cynicznym wyrazem twarzy patrzy mu prosto w oczy). Co ja widzę! Franuś! — Tutaj, draniu jeden, prezenty odbierać potrafisz! Ale mojej szportówki to przyjąć nie chciałeś! Dobrej zabawy! Serwus! (wychodzi).

CIEPIELOWA (spiesznie zamyka za Felkiem drzwi na klucz i z dłonią na kluczu zwraca pytający wzrok w stronę Franka).

FRANEK, (który nie zmienił ani pozy, ani wyrazu twarzy, nagle kiwając na Ciepielową palcem).
Chodź!

(Z a s ł o n a).

AKT TRZECI.

W n o r z e.

Obdrapany pokój. W głębi drzwi, obok których umieszczono rodzaj zydla, na którym stoi stara, obtłuczona miednica. Wzdłuż wszystkich ścian ciągnie się szereg prostych łóżek w następującym porządku: pod lewą ścianą (bokiem do widowni) Frankowe, następnie (wzdłuż ściany) Zośczyne — pod środkową ścianą z lewej małżeństwa Nurków, z prawej ślusarzowe — pod prawą ścianą w głębi Eleganta, na pierwszym planie Felkowe. Nad Frankowem łóżkiem nie wisi nic — nad Zośczynem i małżeństwa Nurków okrągłe, święte obrazki z kolorowemi kwiatkami pod wypukłem szkłem — nad ślusarzowem różaniec — nad Felkowem ozdobny, aczkolwiek niezbyt kosztowny krzyż — Elegant zaś przyozdobił ścianę sporą fotografją, na której z ciemnego tła wyłania się postać nagiej piękności. Pod łóżkami ręczne walizki. W nogach Frankowego łóżka byle jaki stolik, na nim zapalona świeca w glinianym lichtarzu, książki, skrypty i flaszeczka z atramentem. W środku sceny prosty stół otoczony czterema krzesłami. Całość oświeca żarówka, wisząca na plecionce i od góry przyozdobiona niby to abażurem z różowej bibuły. W dzień oświecają norę dwie szybki w drzwiach, przez które obecnie zagląda księżycowa, podwórzowa noc. Felek, rozebrany do pasa i pochylony nad miednicą, myje zawzięcie szyję i piersi. **Elegant** i **ślusarz** grają przy stole w „sześćdziesiąt sześć". **Franek** przy stoliku przewraca kartki książki i robi notatki, ale z miną niesamowicie zaciętą i ponurą. Pracę tę co chwila przerywa jak człowiek, nie mogący skupić myśli. **Małżeństwo Nurkowie** śpią, przykryte jedną kołdrą — **Zośka** również śpi, od czasu do czasu uśmiechając się przez sen.

ŚLUSARZ (biorąc lewę, tępo).
Mam dosyć.

ELEGANT
Fenomenalne!

FELEK (myjąc się).
Któż wygrał.

ELEGANT
Definitywnie znów mój partner.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kazimierz Bross, Poznań

L. Mierosławski winien czy nie winien?

(Na marginesie artykułu Adolfa Nowaczyńskiego „Mierosławski zrehabilitowany?“)

Oświadczenie powyższe, które poniekąd dobrze świadczy o charakterze Kosińskiego, dla całości zajmującej nas tu sprawy jest niezmiernie ważne; podaję je zatem poniżej:

„Moraczewski mówi, że: Malczewski, Garczyński i Kosiński na Mierosławskiego z powodu jego zeznań sądowych mocno rozdrażnieni byli. — Mierosławski musiał temu uwierzyć, bo chociaż w dziełku swem słowami zbija przypuszczenie Moraczewskiego, i nie w tem rozdrażnieniu na niego upatruje przyczynę sprzeciwiania się jego rozkazom, ale w innem równie urojonem przypuszczeniu, to jest w duchu szlachetczyzny; — to jednak nie był zdolny ukryć własnego rozdrażnienia na trzech wymienionych i szarpie ich w swem dziełku gdzie tylko może. — Nie mogę w tej mierze za kolegów mych odpowiadać; co do mnie jednak, wypowiedziałem już w dziełku „Sprawa polska z roku 1846“, że mojem zdaniem, w procesie Berlińskim przywódzcy powinni byli się przyznać, to też ja najmniejszego żalu do Mierosławskiego z powodu jego, mnie kompromitujących, zeznań nie dochowałem. Nie wierzę wprawdzie, że Mierosławski z planu przemyślanego i naprzód ułożonego zeznawał, ale jestem mocno przekonany, że tylko tem się później tłumaczył, aby uniknąć podejrzenia, że Dunker mędrszy był od niego i zeznania podstępem wyłudził. Próżność jest głównym Mierosławskiego przymiotem. — Bądź jak bądź, nie zarzucam Mierosławskiemu z tego powodu moralnej winy, i jeżelim chwilowo w więzieniu na niego narzekał, że swym przykładem mnie pociągnął za sobą do wyznań, to tylko dlatego, że inni koledzy, chcący koniecznie zaprzeczać rzeczy dowiedzionych i jasnych jak słońce, mnie nie sprawiedliwie także obwiniali. W gruncie i przekonaniu mojem, zawsze się przecież z Mierosławskim zgadzałem na to, że jest dla samej sprawy korzystniej, dla politycznego więźnia przyzwoiciej i szlachetniej, aby się przyznawał, nie w szczegółach lecz wogóle, co do zamiaru swego, — i ztąd zaręczam, że osobistej niechęci do Mierosławskiego nie miałem. Ale natomiast wyznaję, że w publicznym zawodzie 1848 roku Mierosławskiego przeciwnikiem byłem, co przecież z żadnej osobistej niechęci nie pochodziło. Przebyłem ja kilka miesięcy w więzieniu razem z Mierosławskim i poznałem go wtedy gruntownie, a mianowicie przekonałem się, iż obok lekkomyślności ma tak egoistyczną ciasną ambicyą i żądzę sławy, że dla niego niczem by było tysiące ludzi, cały naród, choćby całą Polskę poświęcić, byle siebie mógł wywyższyć i na gruzach i zgliszczach tron dla swej pychy zbudować. To przekonanie o Mierosławskim, a nic innego, musiało mię anatagonistą politycznym zrobić — choć go osobiście i prywatnie jako wesołego, dowcipnego i utalentowanego człowieka w towarzystwie — lubiłem“.

Kosiński broni Mierosławskiego i tłumacząc się, dlaczego na niego narzekał w więzieniu, zaznacza wyraźnie, że nie zarzuca Mierosławskiemu moralnej winy z powodu jego zeznań. To wyznanie Kosińskiego jest, jak wspomniałem powyżej, bardzo ważne, ponieważ Guttry w oskarżeniu swem głównie na niego się powołuje. Świadek ten jednak miast Mierosławskiego obciążyć, właściwie go odciąża.

Streszczając się stwierdzam, że sprawa „wsypania“ współspiskowców przez Mierosławskiego w śledztwie w 1846 r., postawiona prawdziwie po prokuratorsku przez Guttrego i rozdmuchana do niezwykłych rozmiarów przez niego i Wierzbińskiego, nie odbiła się zbyt szerokiem echem w piśmiennictwie ówczesnem. Moraczewski wspomina o niej nawiasem tylko, jakby na marginesie sprawy nieuznania Mierosławskiego przez obozy, Kosiński prostuje niesłuszną uwagę Moraczewskiego i broni zajętego przez Mierosławskiego stanowiska, a ks. Koźmian wogóle o niej nie wspomina. Wnioskuję stąd, że nie przypisywali tej sprawie większego znaczenia, lub stali po stronie Mierosławskiego. jak to przypuszczam o Koźmianie. Wnoszę to z uwag, zapisanych ołówkiem na marginesie egzemplarza dzieła Mierosławskiego „Powstanie Poznańskie w roku 1848“, będącego ongiś, jak wynika z pieczęci, własność Jana Koźmiana[25]).

W wielu miejscach tego dzieła znajdują się na marginesie wykrzykniki, znaki zapytania, zakreślenia oraz uwagi, z których wynika, że autor ich w zdarzeniach omawianych brał udział, a w każdym razie dobrze o nich był poiformowany. Na str. 83/84 np. pisze Mierosławski: „Jeżeli nie na kulig przypasano szablę, naglącą było koniecznością pozbyć się kreatur komitetowych, co pod pozorem hetmanienia, sztabowania i gospodarowania w powstaniu, zawiązały między sobą konfederacyę, żeby takowego nie dopuścić“. Na marginesie czytamy: „to radziłem zrobić dn. 7 kwietnia“. Sporo uwag marginesowych odnosi się do sprawy „konwencji Jarosławieckiej“, na którą autor notatek ma inny pogląd, np. „Gwałtem chce obronić konwencyą Jarosławiecką“ (str. 46), lub „Koniecznie broni kapitulacyi“ (str. 54), lub „nowa obrona konwencyi“ (str. 62), lub „znowu konwencya. Mir. chce gwałtem wmówić w czytelnika, że robiąc ją z Willisenem, zrobił coś mądrego, nie był oszukany“. (str. 75).

Na str. 16—22 i 33—35, odnoszących się do sprawy zeznań Mierosławskiego, nie spotykamy żadnych uwag, za wyjątkiem jednego zakreślenia na str. 18. Możnaby z tego wysnuć wniosek, że autor notatek, którym zapewne był właściciel książki ks. Koźmian, godził się na wywody Mierosławskiego, dotyczące tej właśni esprawy. Wynika stąd pozatem, że zaprzątała znacznie więcej uwagę współczesnych sprawa konwencji Jarosławieckiej, niż sprawa zeznań Mierosławskiego, co byłoby niezrozumiałe, gdyby istotnie oceniano je jako zdradę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[25]) Własność Bibljoteki Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk Nr. 36.987.

Jacek Nowicki, Łódź

Żydzi a Polska w średniowieczu

Podczas debaty nad ubojem rytualnym w Sejmie senator Schorr oświadczył, że łamiemy tradycyjne, dobre stosunki polsko-żydowskie. W sukurs p. senatorowi przyszła prasa żydowska, wynosząc pod niebiosa tolerancję dawnej Polski. Zaintrygowany tem, przeczytałem blisko pół tuzina dzieł, traktujących o owej epoce i niestety doszedłem do wniosku, że illo tempore nie zbyt dobrze bywało*).

* * *

Żyd, wieczny tułacz, w swojej włóczędze po świecie, nie opuścił i Polski. Początki wiadomości o Polsce są złączone z imieniem Żyda. Pisarz arabski Al Bekri spisał wiadomości o Polsce żydowskiego kupca Ben Ibrahima, który przemierzył mniejwięcej w czasach Mieszka I całą Słowiańszczyznę. W owych czasach kupcy żydowscy często nawiedzali kraje słowiańskie. Jak podaje Schipper „kraje słowiańskie, zwłaszcza Czechy, Polska i Ruś posiadały pewien artykuł, który dla kupców żydowskich był bardzo cenny. Artykułem tym byli niewolnicy“. Tak samo przedstawia to kronika Dytmara. Czytamy tam, że Gunceiin, margrabia miśnieński „familios multorum sepe ad sibi querentiam Judaeis vendidit“. (Monum.). Również kronikarz Gallus wspomina, że królowa Judyta i św. Wojciech wykupywali niewolników żydowskich.

Stałe osiedlanie Żydów w Polsce datuje się od XII wieku. Złożyły się na to dwie przyczyny: I — prześladowania religijne na zachodzie wzmagające się w okresie wypraw krzyżowych i usuwające żydów kolejno z Hiszpanji, Holandji i Niemiec; II — dążenie do lepszego bytu przez zamieszkanie w krajach niżej kulturalnie stojących. Żydzi, osiadający w owym czasie w Polsce, pełnili funkcje mincarzy i zajmowali się lichwą. Postępowanie ich wywołało w krótkim czasie niechęć i jak podaje Bałaban (I) w roku 1219 poraz pierwszy w Polsce wygnano żydów z Wrocławia, który był wtedy jeszcze miastem polskiem śląskiej dzielnicy Piastów. Żydzi służyli jednak zawsze panom i dla obrony przed społeczeństwem uzyskali szereg przywilejów, Zagranicą w Austrji dał im przywilej Fryderyk Bitny w 1244 r.; na Węgrzech — Bela IV w 1251 i 1256 r.; w Czechach Ottokar V — w roku 1254 i 1255. (Kutrz).

Pod wpływem przywilejów grupy czesko-austrjackiej żydzi otrzymali pierwszy w Polsce przywilej od Bolka ks. Kaliskiego. Datowany 16 sierpnia 1264 roku, chroni żydów z pewną ujmą dla praw ludności rdzennej. Uznaje żydów za niewolników księcia (servi camerae) i stwierdza jednocześnie, że żydów bito, prześladowano, rabowano, posądzano o mord rytualny. Przywilej ten miał ważność tylko w dzielnicy kaliskiej. W innych obowiązywały uchwały synodów: wrocławskiego z 1267 r. i łęczyckiego z 1285 r., zawsze mocno przeciwne żydom. Ciekawy jest fakt, że obowiązywały również w Polsce uchwały synodu w Budzie z 1279 r., zwołanego przez Filipa, biskupa firmińskiego, legata papieskiego. Uchwały tego synodu były najostrzejsze w Europie; nakazano wtedy żydom nosić po lewej stronie piersi kółka z czerwonego sukna (circulum de panno rubeo). Dowodem obowiązywania w Polsce uchwał synodu w Budzie niech będzie cytata z Helcla (Star. pom.), że „późniejsze synodalne wyroki do statutów Filipa się odwołują“.

Oprócz synodów chronią żydów przed zbyt wielkiem prześladowaniem w innych dzielnicach potwierdzenia przywileju z 1264 r. przez Bolka II Swidnickiego z r. 1238, Bolka I, księcia Furstenberga, z 1295 i Henryka, ks. Głogowskiego, z 1299 roku.

Wiek XIII przyniósł nową falę prześladowań. Bałaban (I) podaje, że w Krakowie za panowania Kazimierza Wielkiego była rzeź. Kronika Oliwska (Bałaban I) pod datą 1349 i 1367 r. notuje pogrom w Poznaniu.

Przyczyny prześladowania znajdujemy w „Monumentach“: Rocznik Sędziwoja w 1369 r. wspomina, że mieszczanie skarżą się na żydów: „miasto Kraków praw swoich zostało pozbawione, a zapanowali nad niem żydzi, którzy wrogo przeciw chrześcijanom postępują i dopuszczają się bezprawi (Monum., IV,23). Kazimierz Wielki, urobiony na stronę żydów przez Esterkę (ciekawe, że i Ahasverus-Kserkses — sprzyjał żydom dzięki Esterce. Czyżby Esterka była symbolem?) wydaje szereg przywilejów, chcąc położyć kres fali antysemityzmu. W roku 1934 potwierdza przywilej Kaliski z 1264, a w Statucie Wiślickim — 1347 r. — postanawia: „W kwestji mordu rytualnego dzieci chrześcijańskich, wtedy tylko mogą być skazani Żydzi, jeśli obok 3 świadków chrześcijańskich, także 3 żydów wystąpi przeciw mordercom“ (Kutrz.).

Pozatem stwierdza statut, że żydom nie wolno posiadać ziemi lub zajmować się rolnictwem i handlem, mogą jedynie wypożyczać pieniądze pod zastaw, przyczem muszą być prowadzone księgi, i nie wolno im pobierać większych procentów, jak 1 grosz od grzywny srebrnej w tygodniu, czyli nie więcej jak 108 proc. rocznie!!! (Kutrz.) Jednak nawet te ograniczenia nie wpłynęły na zmianę postępowania żydów. Księgi grodzkie zawierają mnóstwo danych o procesach o lichwę (Kr. Miech.). Kazimierz Wielki jest zmuszony w r. 1364 wydać dla ochrony żydów przywilej t. zw. wielkopolski, który ogranicza lichwę żydowską, motywując to tem, że „złość żydowska dąży do tego, aby chrześciany nietylko w wierze, ale też w bogactwie zawżdy poniżyła i skaziła“. (Przekład Świętosława z Wojcieszyna — Swanthoslawa Swoyczyestrzyna — Rocz. Sędz.). Nieustające prześladowania zmuszają Kazimierza Wielkiego do wydania przywileju z 1367 r.

Zachłanność żydowska tem się nie zadowoliła, ale sfałszowała jeszcze jeden przywilej, traktujący o prawie zabierania dóbr szlacheckich za długi. Władysław Jagiełło początkowo potwierdził jego kopję — oryginał miał się pono spalić w czasie pożaru Poznania — ale później, przekonawszy się widać o jego wątpliwem pochodzeniu, cofnął potwierdzenie. Nowsi badacze, a zwłaszcza Hube, pomimo protestów żydowskich, przywilej ten uznali ze bezsprzecznie sfałszowany.

Pod koniec XIV wieku nowa fala prześladowań przebiega Europę. Bałaban (I) podaje, że „w r. 1360 wypędzono żydów z Wrocławia, w 1361 z Brzegu, Lowenbergu i Nissy, w 1389 z Głogowa, a w Pradze są straszne prześladowania“. Znowu napływają żydzi do Polski i znowu potęguje się nienawiść do nich. Za Jagiełły oskarżono ich w Poznaniu o wykradzenie Hostji, spowodowało to tumulty szczególnie w Krakowie, a tam gdzie znaleziono pokłutą i zbrukaną Hostję stanął kościół Bożego Ciała z klasztorem (wg. dekretu Jagiełły z 1406 — Monum. IV). W tym samym roku spalono na rynku w Krakowie 6 Żydów, fałszerzy pieniędzy, i 2 za zgwałcenie chrześcijanki. (R. Sędziwoja).

Ostrym wyrazem protestu była uchwała Synodu kalisko-wieluńskiego Mikołaja Trąby z 1420 r. Wzywa ona Jagiełłę, aby uśmierzył ucisk, jaki wywierają żydzi przez branie niezwykłej lichwy. (Star. pom. IV 238).

Podobne stosunki, panujące w całej Europie, dały asumpt do nowych prześladowań. U Bałabana (II) czytamy, że „w roku 1432 wygnano żydów z Kolonji, w 1435 ze Spiry, w 1438 z Moguncji, w r. 1439 z Augsburga, w 1450 z Bawarji, 1458 z Erfurtu, 1489 z Würzburga, 1493 z Magdeburga, 1496 z Karynthji, Kraśny i Styrji, na rok 1492 przypadł wygnanie żydów z Hiszpanji, na 1498 z Portugalji“. Wszyscy ci żydzi w 75% osiadają w Polsce. Nie dziwi nas też ,że wg. Schiffera za Kazimierza Wielkiego było żydów 15.000, a za Stefana Batorego 100.000. Coraz pewniej czują się w Polsce żydzi, coraz rozpaczliwsze są wysiłki odżydzenia, coraz silniejsze programy, a nawet w roku 1495 wypędzają żydów z Krakowa i osadzają na Kazimierzu.

* * *

Nie pozostaje obojętna wobec kwestji żydowskiej i literatura. W obszernem studjum o antysemityźmie w literaturze polskiej w wieku 15—17 podaje Bartoszewicz wyczerpujące dane, tyczące się owego okresu. Na tem miejscu wspomnimy tylko o Janie Dantyszku. W roku 1621 podaje Sebastjan Sleszkowski w dziele „Odkrycie zdrad żydowskich“ pieśń Dantyszka o żydach, napisaną w 1524 roku. Zaczyna się ta „Carmen de Judaeis“ od słów:

„Barbara, inhumana est, petulans furiosa proterna,
„Perfida, olanda, procax, inwidiosa rudis...“, etc.

Bezimienny jej przekład podany jest w dziele: „Błędy talmutowe od samych żydów uznane i przez nową sektę Siapwścieciuchów czyli Contratalmutystów wyrachowane, dla ciekawości czytelnika za pozwoleniem starszych do druku podane, roku pańskiego 1758“. Przekład ten brzmi:

„Naród żydów jest gruby, bez wszelkiey ludzkości,
Pełen wszelkiey rozpusty, także y wściekłości,
Trwa w nim upór niezmierny, naród to zdradliwy,
Usty podchlebiaiący, czołem niewstydliwy,
Wszędzie stroi zasadzki, jednak nierozumny,
Omylny y zwodzący, obmierzły y dumny.
— — — — — — — — i t. d., i t. d.
— — — — — — słowem jest to taki
Naród żydów dzisiejszych bardzo ladaiaki,
Który nic nie uważa sprawiedliwych rzeczy,
Co słuszność wskaźnie, niema nic na pieczy,
Żadney w nim nie znaydziesz cnoty pobożności,
Żadney dobroci nie ma swym sercu, miłości“.

* * *

Tak przedstawiały się stosunki polsko-żydowskie w średniowieczu. Czy były tak doskonałe, jak nas zapewniają żydzi?

*) Nie chcąc stale przytaczać źródeł, podaję je na tem miejscu i oznaczam skrótami: Dr. Ignacy Schipper: „Studya nad stosunkami gospodarczemi Żydów w Polsce podczas średniowiecza“, Lwów 1913 — Schipper; dr. Majer Bałaban: „Dzieje Żydów w Krakowie i na Kozimierzu — I Kraków 1912 — Bał.; dr. M. Bałaban: „Dzieje Żydów we Lwowie“ — II Kraków 1812 — Bał.; „Monumenta medii aevi“ — Bielowskiego — Monum.; „Starodawne prowa polskiego pomnika“ — Star. pom.; St. Kutrzeba: „Stanowisko prawne Żydów w XV w.“, „Przewodnik Nauk.-Liter.“ 1901 — Kutrz,; J. Bartoszewicz: „Antysemityzm w literaturze 15—17 w. Geb. i Wolf. 1914. —Bart.; Kronika Miechowska — Kr. Miech.; Rocznik Sędziwoja — R. Sędz.

MARJAN ŁEBKOWSKI, POZNAŃ

Z OPERY

Wznowienie „Casanovy“ Różyckiego.

Muzyka Różyckiego jest zawsze świeża i zawsze pozostawia nowe wrażenia wśród słuchaczy. Bogactwo inwencyj, pyszna szata instrumentacyjna oraz niebywałe naturalne efekty — oto cechy, przywiązane do twórczości tego kompozytora, który potrafi każdemu tematowi nadać niemałą wartość artystyczną, przyoblekając go w szaty najidealniejszej poezji. Jeśli się doda, że bujna jego fantazja i szeroko zakrojony rozmach twórczy potęgują i urozmaicają plastykę całokształtu, — otrzymujemy prawdziwie dobrą oprawę muzyczną, która w połączeniu z ciekawą treścią nazwana być może arcydziełem. „Casanova“ należy bezsprzecznie do arcydzieł dzisiejszej naszej literatury muzycznej i obiega od dłuższego czasu wszystkie większe operowe sceny europejskie.

Ostatnie wystawienie tej opery na deskach Teatru Wielkiego w Poznaniu — to jeszcze jeden dowód, świadczący o tem, że stać nas na dobre pod każdym względem opracowanie muzyczno-sceniczne oraz na staranne wykonanie poszczególnych partyj głosowych.

A jest ich w „Casanovie“ bardzo dużo i wymagają nieprzeciętnej pracy odtwórczej. Bo czy weźmiemy akt I (Nad Bosforem), czy II (Łazienki, Buduar Caton, Pojedynek), czy wreszcie III (Wenecję), — wszędzie spotkamy żywą i zmieniającą się akcję, obfitującą w charakterystyczne momenty epizodyczne oraz wymagającą nietylko zachowania praw dynamiki, ale i zmiany tła oraz środowiska.

Krótkie, epizodyczne odsłony przesuwają się jak w kalejdoskopie, przenosząc nas z Turcji do Warszawy, a potem Wenecji, gdzie wreszcie kończą się awanturnicze przygody włoskiego pożeracza niewieścich serc, mającego na sumieniu nie jedną zawadjacką sprawę i nie jedno życie.

Na pierwsze miejsce wśród całej plejady dygnitarzy, kochanek i charakterystycznych postaci wysuwają się przedewszystkiem dwie osoby. Są niemi Caton (Dudiczówna) oraz Casanova (Drabik). Obie ich partje, potraktowane szlachetnie całym zasobem wiedzy i techniki głosowej, stwarzają nie jedną chwilę piękna i wiele wrażeń estetycznych.

Dudiczówna — to może najlepsza w Polsce odtwórczyni Caton, dysponująca nietylko czarującym głosem, ale i odpowiedniem lirycznem ujęciem roli, która wymaga wdzięku i wyrazu. (Szczególnie piękną jest popularna piosnka Caton w III akcie.) Drabik, jako Casanova, jest niewątpliwie dobry w każdej odsłonie i w każdym momencie. Głos jego, pełen siły i uczucia, chwilami nieco może matowy, wykazuje staranne opracowanie i dobrą technikę, która znajduje właściwe pole do popisu w nowej arji III-go aktu, (niedawno skomponowanej przez Różyckiego).

Z pośród innych artystów zasługują na uwagę pp.: Kisielewska (Zelma), Gretal (Fatma), Cirin (Jusuf Bej), Karpacki (Branicki) oraz wesoła, tryskająca humorem para — Kaupówna i Sendecki. Dobrze opracowane partje stwarzają Kopczyński (Ryx) i Warcnalewski (muzyk).

Chóry i orkiestra — pod dyrekcją Dr. Latoszewskiego, którego niezmordowana praca wykazuje wciąż dodatnie i ładne wyniki.

Teatr na Pohulance

DZIEJE „WOLNOŚCI“, komedjodramat w 3 aktach
Reż. M. Szpakiewicza. Dek. W. Makojnika.

W komedjodramacie, jak autor swoją sztukę nazwał, chciał on przedstawić idealistyczne porywy naszej młodzieży doby współczesnej po ukończeniu studjów.

Młody entuzjasta Jurek Starzycki zakłada za pieniądze rodziców swoich i narzeczonej Hanki Łuszczakówny pismo p. t. „Wolność“ w celu walki z kartelami w obronie ludu. Z czasem porzuca pismo, gdyż zmieniło kierunek polityczny. Wraz z utraconą posadą traci „miłość“ swej narzeczonej. Ojciec jego zdegenerowany, stary lowelas, szczycący się swem szlacheckiem pochodzeniem, który utrzymuje się z „pracy społecznej“, jako prezes grubo subsydjowanej rachitycznej organizacji, prosi Hankę, żeby swym wpływem zmusiła Józka do powrotu do „Wolności“. Po burzliwej rozmowie młodzi rozchodzą się, Hanka idzie „pracować“ do dancingu — domu schadzek p. Rozenblum, a Józek sprzedaje się, jak sam mówi, kartelowi za posadę byle zdobyć umiłowaną Hankę.

Podczas ostatniej i decydującej rozmowy z nim w lokalu p. Rozenblum, wychodzi z separatki pijany ojciec Jurka, który przy wódce spędzał w spelunce czas z jego narzeczoną. Jurek postanawia wyjechać do Ameryki, lecz do tego nie doszło, gdyż zastrzelił się w redakcji „Wolności“.

Autor chciał stworzyć coś potężnego, coś, coby porwało widza, lecz mimo, iż porusza bardzo aktualne problemy naszego życia społecznego, nie potrafił wykorzystać pewnych momentów i porwać widownię; widz pozostał chłodnym i obojętnym na fanatyczne wysiłki Jurka Starzyckiego. Jego całe otoczenie z wyjątkiem starego krawca Łuszczaka, ojca Hanki, jest z gruntu zmaterjalizowane. Na tem tle jasno odcina się młody Starzycki, który jednak nie umie zwyciężać i dlatego ginie. Na placu zostają młodzi Łuszczakowie, którzy potrafili się dobrze sprzedać: idea ulega materjalizmowi. Samo zakończenie sztuki jest źle skonstruowane, gdyż widz nie może się zorjentować, czy to jest już koniec — stwierdza to dopiero po opuszczeniu kurtyny.

Dekoracje p. Makojnika może i ładne, ale nie harmonizujące z całością, a już nieszczęśliwie wypadł Kościuszko na banknocie stuzłotowym.

Gra, jak zwykle, na poziomie, zwłaszcza p. Neubelt w roli Starzyckiego, p. Środka w roli młodego Łuszczaka, p. Jasińska, jako p. Rozenblum, powołująca się stale na zdrową ekonomiczność.

Słabo wypadł p. Surawa w roli starszego zecera, a już stanowczo należało opuścić zbyt mocny wyraz drukarzy przez niego z satysfakcją użyty.

Najlepsze w całej sztuce były „wstawki“ polityczne, dokonane prawdopodobnie przez grających. — bez tego byłoby nudno.

A. SZCZERBA, Wilno.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40. zł, 1/10 strony — 30 zł.
Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum). w Wilnie — Stefan Łochtin.
Rękopisów nie zwraca się.
Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław Maciąg, Poznań
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.

Rękopisów nie zwraca się.